

Londyńskie spotkania po dwóch stronach oceanu



Stefan Kisielewski, fot. culture.pl

Florian Śmieja (*Mississauga, Kanada*)

Zaraz po wojnie nie łatwo było odwiedzać Anglię. Do pierwszych gości w Londynie należał **Leopold Tyrmand**. Pamiętam jak go przyjmowaliśmy, jako autora głośnego już "Złego", a on popisywał się kolorowymi skarpetkami i buńczucznym oświadczeniem, że ks. kardynał Wyszyński i on byli prawdziwymi przywódcami młodzieży polskiej.

Przyjechał też **Jerzy Zawieyski**, którego pamiętam za strofowanie nas, że krytykujemy społeczeństwo polskie, które przecież żyło w innych warunkach. Zdumiało mnie jego prawie konspiracyjne pytania, czy w Londynie może on po prostu wejść do sklepu i kupić ubranie bez talonu i jakiegoś zezwolenia.

W Londynie często spotykaliśmy się w restauracji i kawiarni Dakowskiego blisko kolejki podziemnej South Kensington, bo była blisko polskich instytucji takich jak Ognisko Polskie, Instytut gen. W. Sikorskiego czy Brampton Oratory. Wspominam picie kawy po wykładach na Polskim Uniwersytecie Na Obczyźnie z **Józefem**

Bujnowskim, Wandą Chruściel, Krystyną Cywińską, Marią Nowakowską, Wojciechem Gniatczyńskim, Ferdynandem Goetlem, Zygmuntem Ławrynowiczem czy **Napoleonem Sądkiem**, żeby wymienić kilka nazwisk. Goetel relacjonował rozmowę na granicy, kiedy wyjechał z Polski. Nie pamiętam, czy chodziło o wizę holenderską czy paszport. Dość, że celnik na granicy oddał mu paszport ze słowami: *no, to leć pan, latający Holendrze*.

Ze **Stefanem Kisielewskim** mówiłem o muzyce. Byłem ciekaw, kogo widział na polskim firmamencie jako najjaśniejszą gwiazdę wśród młodych kompozytorów. Wymienił **Henryka Mikołaja Góreckiego**. Wtedy było to dla mnie nowe nazwisko, ale niedługo później jego trzecia symfonia pieśni żałosnych podbiła świat. Kiedy na początku któregoś grudnia znajdowałem się w kalifornijskim Palm Springs, lokalne amerykańskie radio nadało Góreckiemu życzenia urodzinowe i emitowało jego sławną symfonię, w której Amerykanka Dawn Upshaw piękną gwarą śląską czarowała słuchaczy

Miło mi było, że współczesny Polak cieszył się takim mirem i natychmiast pchnąłem do niego list z dobrą wiadomością.

Potem odwiedzałem **Stefana Kisielewskiego** w Warszawie. Gościłem go też w ontaryjskim London po przeprowadzce za Atlantyk.

Pracując na uniwersytecie Western, zaprowadziłem Kisielewskiego na wydział muzykologii. Tam, nie znający angielskiego gość, w języku niemieckim przemówił do nauczycieli akademickich. Jeden z nich, rodem z Austrii, skwapliwie tłumaczył jego słowa kolegom. Niemniej wnet mina mu zrzędała, kiedy na zapytanie o socjalizm, Kisielewski bez ogródek nazwał go ustawiczną improwizacją.

Wolontariusz bardzo się napocił, by złagodzić ostre wypowiedzi gościa z Żelaznej Kurtyny, używał bardzo dowolnego tłumaczenia i uciekał się do nierzadziejzych eufemizmów, by przedstawiany obraz nie pogrążał oczekiwań naiwnych fanów utopii.

W London Kisielewski w pułkowniku **Czesławie Czajkowskim** rozpoznał swojego dowódcę z września 1939 roku, którego wspomina w swojej powieści "Sprzysiężenie". Później z Warszawy pisaliśmy wspólnie do niego pocztówkę, na której Kisielewski meldował się jako dawny podchorąży.

Stefan Kisielewski:

<https://www.cultureave.com/kasztan-kisiela/>

Henryk Mikołaj Górecki:

https://www.cultureave.com/otrzymany-czas-musisz-godnie-przezyc-henryk-mikolaj-gorecki-1933-2010_/

Kasztan Kisiela



Stefan Kisielewski, fot. alchetron.com

Florian Śmieja

Stefana Kisielewskiego spotkałem po raz pierwszy w Anglii; nie pamiętam już bliższych szczegółów. Widzę jak przez mgłę niekonwencjonalnie ubranego mężczyznę w wiatrówce koło kiosku na stacji kolejki podziemnej Gloucester Road z egzemplarzem tygodnika „Orzeł Biały” wystającym z kieszeni. To był umówiony znak rozpoznawczy. Jak w konspiracji. Nasz miesięcznik młodych „Merkuriusz Polski” wydrukował wtedy jego artykuł, a on sam wystąpił pod naszą egidą w Instytucie im. gen Władysława Sikorskiego w Londynie. Próbowaliśmy dostarczać mu nasze pismo, które z czasem zmieniało nazwę. Raz odpowiedział

„Kontynentów” czy jak się zwą nie dostaję...

a innym razem

...niestety „Kontynentów” nie otrzymuję mimo dwukrotnej interwencji w Urzędzie Kontroli Prasy.

Dlatego, gdy zjawił się w Kanadzie jakieś tuzin lat później, zaprosiłem go skwapliwie do nas. Były to czasy jednoznacznego pohukiwania nieprzejednanych.

Na jaki paszport przyjeżdża – pisali jedni – jakąż więc musi robić robotę?

Inni sarkali:

Niech już sobie działa tam, ale tu my takich nie potrzebujemy.

W London, Ontario, zaprowadziłem go m.in. na Wydział Muzykologii mojego uniwersytetu. W rezultacie w lokalnym dzienniku pojawił się o nim artykuł i piękne zdjęcia Kisiela przy fortepianie. Na uniwersytecie do kolegów po fachu przemówił po niemiecku. Kiedy bez żenady oświadczył, że cały ten polski socjalizm to właściwie jedna ciągła improwizacja, tłumaczący profesor zląkł się i zamiast tłumaczyć dokładnie, zabrął w jakieś eufemistyczne łamańce i uniki. W jednej z rozmów prywatnych nie omieszkałem spytać Kisielewskiego o scenę muzyczną w Polsce. Kogo uważał za najjaśniejszą młodą gwiazdę wśród polskich kompozytorów? Bez wahania odpowiedział: Henryka Mikołaja Góreckiego. Usłyszałem to nazwisko wtedy po raz pierwszy.

Ponieważ nasz Klub Dyskusyjny spotykał się w prywatnym domu i był przez tzw. zorganizowaną lokalną Polonię bojkotowany (teren tu już jest zajęty, tłumaczył proboszcz), postanowiliśmy z okazji przyjazdu tak wybitnej postaci dać wszystkim zainteresowanym Polakom w London okazję, by go mogli zobaczyć i posłuchać. Wynajęliśmy więc w tym celu salę w świeżo za miastem zbudowanym domu rekolekcyjnym OO Michaelitów. I wtedy zaczęły się trudności. Proboszcz polskiej parafii zagroził Michaelitom konsekwencjami w przyszłej współpracy, jeżeli nam udostępnią lokal. Na szczęście, kierownik ośrodka się nie przeląkł. Ponoć jacyś gorliwi parafianie planowali przeciąć drogę dojazdową...



Stefan Kisielewski, fot. alchetron.com

Spotkanie się jednak odbyło. Oprócz członków Klubu, którzy stawili się gremialnie, spoza naszego grona pojawiło się na sali aż dwóch śmiałków. Reszta, niestety, uległa zastraszaniu proboszcza i presji powolnego środowiska.

Po znakomitej prelekcji resztę zimowego wieczoru spędziliśmy wesoło u Haliny i Mieczysława Gramatyków. To tam Kisielewski wśród obecnych rozpoznał pułkownika Czesława Czajkowskiego, swojego ostatniego dowódcę we wrześniu 1939 roku. Od owego momentu, utrwalonego zresztą w powieści „Sprzysiężenie”, Kisiel nic o nim nie słyszał. Radości z tego nieoczekiwanego spotkania było wiele.

Przypominam sobie, jak to kilka lat później bawiąc w Warszawie, w kawiarni poselskiej (mimo że Kisiel już wtedy posłem nie był) napisaliśmy wspólnie kartkę do Kanady do pułk. Czajkowskiego, na której Kisiel meldował się jako podchorąży.

Przedstawił mi wtedy także człowieka, którego nazwiska niestety nie zapamiętałem, ogłaszając na całą salę, że miałem ogromne szczęście, jako że ów znajomy zazwyczaj przebywał w więzieniu i rzadko kiedy można go było spotkać na wolnej stopie. Opowiedział mi też historyjkę o Leopoldzie Tyrmandzie, siedzącym już wtedy w Ameryce. Raz przyszedł on do Kisiela i naumyślnie rozlał jakiś płyn w przedpokoju. Bez słowa, ponieważ posadzka była czysta, Kisiel zdjął płaszcz Tyrmanda z wieszaka i wytarł nim podłogę.

Po raz pierwszy odwiedziłem Kisiela w Polsce korzystając z uprzejmości sir George'a Clutтона, ambasadora Wielkiej Brytanii, a mojego byłego ucznia, który mnie pod jego dom podwiózł. Bardzo cenił Kisiela, a ten grywał u niego na przyjęciach dla przyjaciół. Kisielowski przyjął mnie z wielką serdecznością, był w świetnym nastroju, gdyż akurat ukończył pracę nad „Damami i huzarami”.

Kisiel w jednym z listów donosił:

[...] Poza tym działam normalnie, pisuję, komponuję, myślę etc. Pańskiego ucznia z dyplomacji widuję nie rzadko – bardzo jest zabawny. W karnawale urządził nieoficjalne przyjęcie taneczne w swojej rezydencji, można było pękać ze śmiechu, tańczono poloneza (a grałem), śpiewano chórem krakowiaka itp.

Kiedy byłem u niego parę lat później po raz drugi, by wręczyć mu list, nie zastałem go w domu. Był w Gliwicach z odczytem.

W moim domu w Kanadzie naraziłem mu się, gdy mu nasypałem za dużo kawy do filiżanki. „Nie chce mnie pan otruć”? skomentował. A na odjeźdźnym podarował mi kasztan zapewniając, że chroni od reumatyzmu. „Ale ja nie mam reumatyzmu” odpowiedziałem. „A widzi pan – ciągnął niespeszony Kisiel – już działa”.

Kasztan nadal posiadam; reumatyzmu się nie nabawiłem.